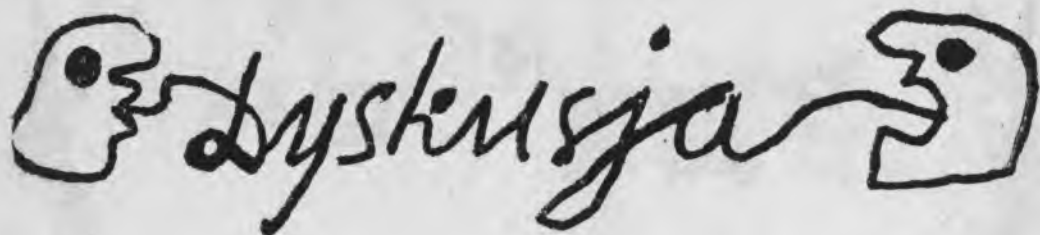


Dyskusja

Biuletyn
nr 4 z
Jankowa
Województwa
Pomorskiego



Donkovich. 87.



B I U L E T Y N
WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY
w BIAŁYMSTOKU

W N U M E R Z E:

	Str.
ZBIGNIEW WAYDYK — Fraszki	2 str.
LITERAT i LITERATURA	
OBŁĘD DZIŚ CENĄ JEST DZIAŁANIA — z prezesem Klubu Związku Literatów Polskich w Białymstoku rozmawia Iwona Wąsowicz-Szczepaniak	3 str.
DWUGŁOS RECENZENCKI: WALDEMAR SMASZCZ — Dzwon na trwogę; ANDRZEJ GACKO — Świat nieprzyjazny tak bardzo	7 str.
WIERSZE STEFANA KAMIŃSKIEGO, ANNY MARKOWEJ, WOJCIECHA M. DARSKIEGO, JANA LEOŃCZUKA, JERZEGO PIŁTOWICZA, ANDRZEJA SZADKOWSKIEGO, ALICJI RYBAŁKO I WOJCIECHA PIOTROWICZA	11 str.
WIESŁAW KAZANECKI — Gdy nie można iść dalej	21 str.
LESŁAW SADOWSKI — Milczenie Kassandry	24 str.
MICHAŁ SZACHOWICZ — Pieniądze, Znalezisko	25 str.
EUGENIUSZ KURZAWA — Stan na dziś	27 str.
TWARZE JAZZU	
KRZYSZTOF OSTASZEWSKI — Betty Carter	30 str.

RADA PROGRAMOWA

Kazimierz Derkowski, Jan Szaciłło, Przemysław Skarżyński, Krzysztof Ostaszewski, Adam Borysiewicz

Wydawca:

Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku

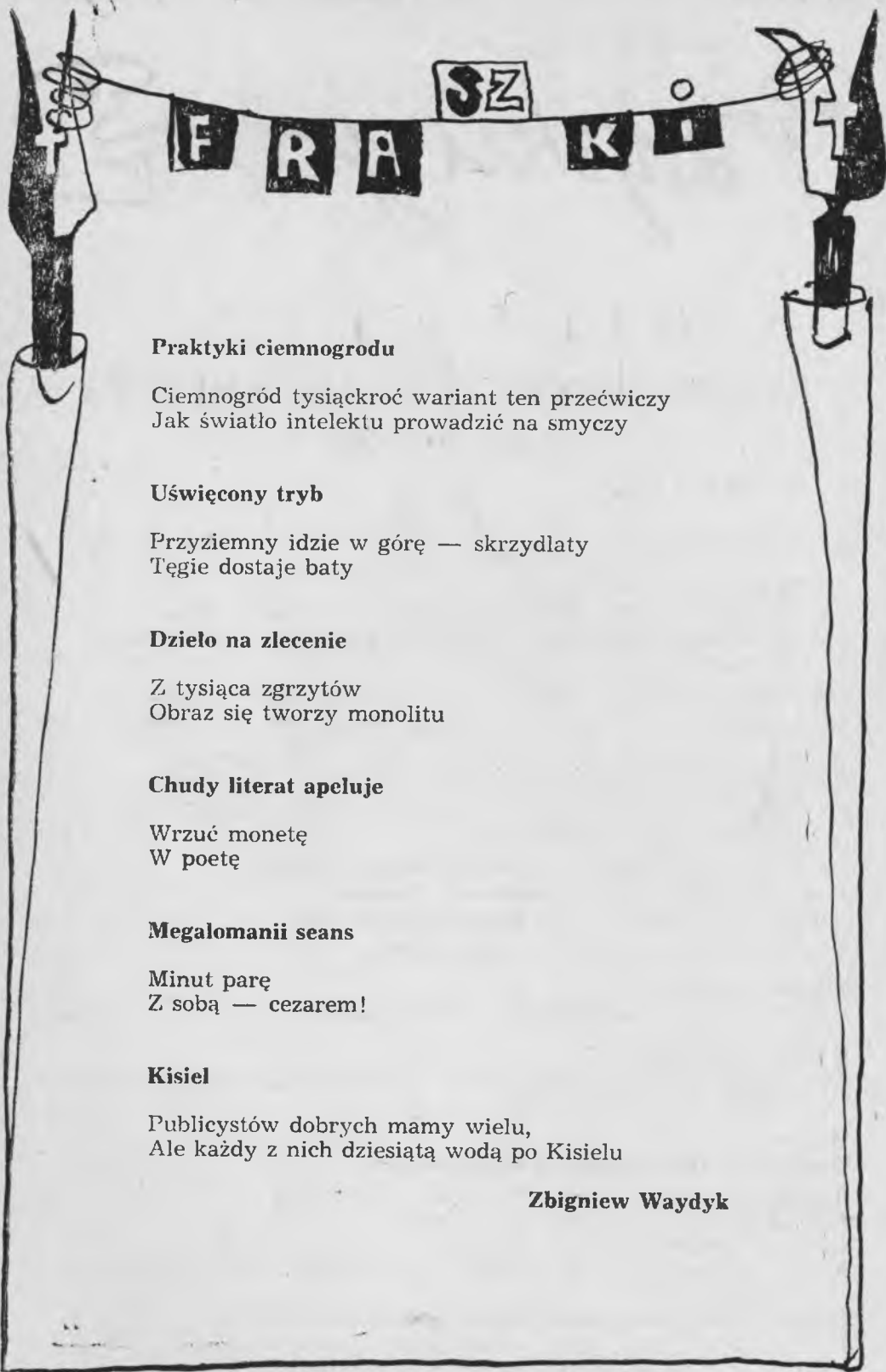
Redaktor naczelny — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Redaktor graficzny — Andrzej Dworakowski

Redaktor techniczny — Jan Szaciłło

Numer zredagowany przy współpracy z Klubem Związku Literatów Polskich w Białymstoku

Konsultacja literacka — Wiesław Kazanecki



Praktyki ciemnogrodu

Ciemnogród tysiącokroć wariant ten przećwicz
Jak światło intelektu prowadzić na smyczy

Uświęcony tryb

Przyziemny idzie w górę — skrzydlaty
Tęgie dostaje baty

Dzielo na zlecenie

Z tysiąca zgrzytów
Obraz się tworzy monolitu

Chudy literat apeluje

Wrzuć monetę
W poetę

Megalomanii seans

Minut parę
Z sobą — cezarem!

Kisiel

Publicystów dobrych mamy wielu,
Ale każdy z nich dziesiątą wodą po Kisielu

Zbigniew Waydyk

LITERATURA



*...chcę podać dłoń sztuce i literaturze,
Garnąć młode talenta, a któż je przygarnie?
Czy możni mecenas? Czy nasze księgarnie?
Czy może wy... publiczność!...*

(Ludwik Kondratowicz)

OBLĘD DZIŚ CENĄ JEST DZIAŁANIA

ROZMOWA Z EUGENIUSZEM KURZAWĄ, PREZESEM KLUBU
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH W BIAŁYMSTOKU.

IWONA WĄSOWICZ-SZCZEPANIAK — Mieszkasz w Białymstoku dopiero ponad rok. W tym czasie dzięki Twojej energii powołano Klub Literacki. Byłeś także, do września 1987, kierownikiem działu kultury w „Kurierze Podlaskim”, gdzie m.in. redagowałeś kolumnę kulturalną, drukowałeś recenzje literackie, umożliwiłeś debiut poetom, zapoczątkowałeś też dyskusję czytelników „Białostok kulturalny”, a przecież to jeszcze nie wszystko. Inicjowałeś powstanie Klubu Środowisk Twórczych. Wniosłeś spore ożywienie do życia artystycznego w mieście. Nie wszystkie Twoje pomysły spotkały się jednak z życzliwym przyjęciem...

EUGENIUSZ KURZAWA — Rzekłbym filozoficznie: takie jest życie. Może byłem i jestem jeszcze „zbyt nowy” i „nie wszystko rozumiem”, może wolę pracować niż gadać, może moje pomysły — jak to się mówi — „nie trafiły w społeczne zapotrzebowanie”.

— Kolumna literacka w „Kurierze” była miejscem, na którym — w formie publicystycznych wypowiedzi — głos zabierali literaci, krytycy, recenzenci. Drukowałeś też twórczość oryginalną. Dotychczas nie czyniło tego żadne z białostockich pism, gazet. Dlaczego, gdy mowa o forum dla artystów — w sferze deklaracji wszyscy są zgodni, gdy przychodzi do realizacji, jest inaczej?

— Mógłbym powiedzieć, że „Dyskusja” (jak kiedyś „Kontrasty”) od kilku lat dobrze służy środowisku artystycznemu i mogę tylko żałować, że ma tak niski nakład i jest zamknięta statutem biuletynu wewnętrznego Wojewódzkiego Domu Kultury. Kiedyś też BIK (Białostocki Informator Kulturalny, przekształcony później w miesięcznik „Zdarzenia”) starał się

być forum twórców. Środowisku zabrakło jednak siły i ochoty, żeby po 1982 roku walczyć o kontynuowanie BIK-u lub o powołanie nowego pisma. Natomiast fakt, iż białostockie gazety nie piszą o literaturze jest zjawiskiem normalnym. Są to dzienniki, przeznaczone do informowania, a nie promowania literatów czy malarzy, muzyków, aktorów. Mogę powiedzieć, że to i tak dobrze, iż ową kolumnę kulturalną z okienkiem poetyckim, z częstymi recenzjami, z kilkutygodniową dyskusją o życiu literackim, jaką drukowałem na przełomie 1986 i 1987 roku, udało mi się przez rok utrzymać w piśmie popołudniowym. „Kurier” naprawdę nie jest miejscem na tego rodzaju „ekscesy”. Ale — tak mi się zdawało i nadal zdaje — ponieważ ani „Gazeta Współczesna”, ani „Kontrasty” nie interesują się literaturą piękną, nie zajmują się nawet odnotowywaniem po dziennikarsku pewnych wydarzeń w życiu literackim regionu, miasta, sądziłem, że mając świadomość tej luki należy ją w miarę sił wypełniać.

— W swojej kilkuletniej pracy przy redagowaniu kwartalnika „Dyskusja” nigdy nie napotykałam na przeszkody związane z brakiem materiałów literackich, szczególnie zaś poetyckich. Wręcz przeciwnie, jeśli już był kłopot to raczej z ich nadmiarem. Jak sądzisz, czego to jest wyrazem? Czy braku możliwości wypowiedzi na łamach prasy białostockiej, czy jest to wynik bujnego życia literackiego, czy też atrakcyjności statusu poety?

— Tego rodzaju problemy mają redakcje wszystkich pism kulturalnych, nawet te, które tylko od czasu do czasu drukują „trochę literatury” na swych łamach. Chyba można odpowiedzieć pozytywnie na wszystkie trzy człony Twojego pytania. Literatom na pewno brak miejsca na prezentację swego dorobku, myślę tu o całej Polsce. Brak jest pism wyłącznie literackich; np. obecnie nie ma w kraju ani jednego tygodnika o takim charakterze, są dwa, trzy miesięczniki, kwartalniki. W prasie białostockiej sytuacja jaka jest — każdy widzi. I tu się na pewno nic nie zmieni. Może życie literackie u nas w kraju nie jest „aż tak” bujne, ale coś się dzieje. Jest w tym dzianiu się sporo pluralizmu, dlatego trudno mi powiedzieć o sytuacji w środowiskach literatów kościelnych czy podziemnych. Białystok ostatnio „dociąga” do reszty kraju, wyszło w tych latach wiele książek, pojawiły się nowe nazwiska, nierzadko utalentowani twórcy.

— Jakie cele przyświecały Tobie, gdy powoływałeś Klub Literacki, co z zamierzeń udało się zrealizować, a co nie?

— Muszę sprostować: Klub zakładało kilkanaście osób dokładnie — 16, powstał zaś 10 marca 1987. Cel? Chodziło o integrację środowiska, o pomoc socjalną dla kolegów, o działanie promocyjne przy wydawaniu książek, chodziło też o to, aby władze kulturalne miasta i regionu miały partnera do rozmów, łatwo bowiem — gdy kogoś nie ma, nie jest „przy stole” reprezentowany — zapominać o nim. I to — jak dotychczas — udało się zrealizować. Natomiast nie mamy pieniędzy, ani grosza. Nie możemy zwrócić, np. gościom, nawet kosztów podróży.

— Klub ZLP zyskał sprzymierzeńców w osobach dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i dyrektora oddziału KAW w Białymstoku. Czy jest to tylko tzw. poparcie moralne, czy też istotna pomoc dla Klubu podparta „argumentami” materialnymi, możliwościami wydawniczymi?

— Dodałbym tu koniecznie jako sprzymierzeńca dyrektora Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy. „Empik” podpisał z nami nawet umowę o współpracy, na II piętrze mamy swoją tymczasową siedzibę, tzn. szafkę.

a w szafce teczkę na dokumenty. Spotykamy się też ciągle z bezpośrednią życzliwością pani Iwony Smielak tamże pracującej. W Klubie MPiK odbywamy posiedzenia Zarządu, tam przychodzi do nas korespondencja, tam można do nas telefonować, a pani Iwona wszystko to nam przekaże. W salach MPiK odbywamy też spotkania klubowe, autorskie. I to jest dla nas najbardziej namacalna i potrzebna pomoc. Z panią dyr. Marią A. Marandą spotkaliśmy się kilka razy mówiąc o swoich problemach środowiskowych, snując plany, licząc na poparcie. Szczególnie przy nawiązywaniu współpracy z zagranicą, co właśnie finalizujemy. KAW jest natomiast wydawnictwem i tam każdy autor musi już indywidualnie zabiegać o swoje sprawy. Możemy popierać, ale nie możemy forsować kogoś na siłę z tego powodu, że należy do Klubu.

— Czy istnieje ciągłość między Klubem Literackim zawieszonym po stanie wojennym a waszym Klubem? O ile wiem, poprzedni prezesi uczestniczą w spotkaniach klubowych.

— Tak. Sokrat Janowicz i Wiesław Kazanecki, z którymi konsultowałem się przed powołaniem do życia obecnego ciała, udzielili nam, że tak powiem swego „błogosławieństwa”. Obecny Klub ZLP jest już trzecim w historii Białegostoku. Organizacyjnie jest to nowe stowarzyszenie, podlegamy pod oddział w Warszawie, duchowo — jak wynika z gestów Janowicza i Kazaneckiego — jesteśmy kontynuatorami dwóch poprzednich.

— Powołanie do życia takiej organizacji jaką jest Klub Literacki ma być na pewno wstępem do utworzenia oddziału Związku Literatów Polskich. Jakie warunki muszą być spełnione, aby to nastąpiło?

— Ja nie spieszyłbym się tak z tym oddziałem. Powołanie Klubu miało cel taki, jak już powiedziałem: integrację, pomoc, współpracę. Białystok nigdy dotychczas nie miał oddziału, i to z przyczyn subiektywnych. Dlatego zbierając się, organizując, myśleliśmy bardzo ostrożnie. I nadal to czynimy. Integracja środowiska jeszcze nie skończyła się. Najważniejsze było i jest: nie stracić tego co dał nam Klub. Skupia on dziś 25 członków z trzech województw: siedleckiego, suwalskiego i białostockiego. Żałuję trochę, że zdecydowaliśmy się początkowo należeć do oddziału warszawskiego. To największy oddział ZLP w kraju, skupia co najmniej połowę wszystkich członków Związku. Jest tam więc duża biurokracja, bezwład, liczy się bardziej protokół niż sprawy literatów. Mogliśmy, no, jeszcze możemy, afiliować się przy Oddziale w Olsztynie. Odpowiadając na Twoje pytanie: aby powstał oddział musi zebrać się kilku literatów będących członkami rzeczywistymi ZLP, dokonać wyboru władz i uzyskać na to zgodę (chyba w formie uchwały) Zarządu Głównego. To wszystko, ale z drugiej strony jak dużo, bo środowisko jest — powtarzam — niezbyt zintegrowane.

— Zanim powstanie oddział ZLP być może będzie istniał już jakiś alternatywny Związek Literatów. Coraz więcej osób jest zdania, że byłoby to wskazane i możliwe do urzeczywistnienia. Np. w „Polityce” nr 45/87 Ryszard Marek Groński pisze: „Sprawa ZLP z pozoru marginalna, gościła już na łamach „Polityki”. Wówczas nie doprowadziło to do żadnego finału. Obecnie czas jest inny. Jeżeli można reformować Centrum, zmieniać skład rządu, przekreślać to, co nie wytrzymało próby życia — dlaczego upierać się przy wariacie, który nie zdołał się sprawdzić? Proszę nie odpowiadać, że w odnowionym ZLP jest mnóstwo członków, prezes podpisał więcej umów zagranicznych niż jego poprzednicy, a młodzi pchają się drzwiami i oknami, byle dostać się do gabinetu pana Gąsiorowskie-

go. Wystarczy przywołać trzy nazwiska (znanych pisarzy, którzy nie wstąpili do nowego związku — przyp. IWS). (...) Igor Newerly (...) Maria Kuncewiczowa (...) Andrzej Kuśniewicz (...) Argument: nie należy pozwalać na powstanie nowych zrzeszeń pisarskich, bo to będą związki małe i skłócone, jest argumentem śmiesznym. To niby teraz jest siła i jedność? Wolne żarty, panie ministrze!”

Jaki jest Twój pogląd na te sprawy?

— Słyszałem i czytałem, że szykuje się powstanie AIRE (Agencja Informacyjno-Religijna Episkopatu), dziennika katolickiego, może więc powstanie jakieś stowarzyszenie literackie katolików czy tzw. niezależnych twórców. Mnie to nie przeszkadza. Konkurencja — jeżeli można tu o tym mówić — jest tylko bodźcem do lepszego działania. Pluralizm — uczy tolerancji dla poglądów innych.

— Teraz może bardziej prywatnie. Ostatnio wyszedł Twój drugi tomik wierszy „Nie jesteś tu” wydany przez KAW, prasa podała też informację o następnym tomiku pt. „Samotnieję”, w zapowiedziach wydawniczych mamy kolejną książkę poetycką: „To wszystko nic”. Jako dziennikarz pracujesz w „Kurierze”, dojeżdżasz też do pracy do Warszawy, w „Gazecie Młodych” drukowanej w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Kim się czujesz: poetą, dziennikarzem, a przecież jesteś jeszcze działaczem kulturalnym, za co uhonorowano Cię Nagrodą im. St. Wyspiańskiego? Czy te różnorodne formy aktywności nie przeszkadzają sobie wzajemnie, czy też uzupełniają się?

— Dla siebie jestem przede wszystkim i we wszystkim poetą. Dziennikarstwo jest tu czymś pomocniczym. Z tym, że według mojego rozumienia niekoniecznie poetą jest ten, kto pisze wiersze, wydaje opasłe tomiszczą. Bycie poetą to pewien sposób życia, to sposób na życie. A te różnorodne formy działalności są mi pomocne, w jakiś sposób realizują mnie. Szczególnie mówiąc nigdy tego dylematu nie artykułowałem w sposób pełny, słownie czy w piśmie, trudno mi więc tutaj wyczerpująco odpowiedzieć. Wyszedłby jeszcze jeden duży wywiad, ale tylko o tym. Staram się — jak umiem — odpowiedzieć na to pytanie w wierszach.

— Nie palisz, nie pijesz alkoholu, nikt w redakcji nie wie, gdzie jesteś uchwytany, nie znają Twego adresu. Czy jesteś człowiekiem nietowarzyskim?

— A czy picie, palenie oznacza bycie osobą towarzyską? Dziwne skojarzenie. Jestem osobą umiarkowanie towarzyską w potocznym rozumieniu, z tym że ostatnio już coraz mniej. Wyznam zasadę: My home is my castle. Albo inaczej, jak powiedział góral w pewnym góralskim dowcipie: — wy macie swoją bandę, a my mamy swoją bandę, wy się znocicie i my się wszyscy znamy.

Coraz mniej interesuje mnie ta otoczka literatury jaką jest życie literackie, czy nawet szersze życie społeczne. Nad biurkiem zawiesiłem sobie cytaty z Miłosza: „Oblęd dziś ceną jest działania”.

— Dziękuję Ci za rozmowę, a także za współtworzenie tego numeru „Dyskusji” gdyż część tekstów w nim zawartych jest autorstwa członków Klubu Literackiego w Białymstoku.

Rozmawiała: Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

DWUGŁOS RECENZENCKI

Wiesław Kazanecki, *Koniec epoki barbarzyńców*. Białystok 1986.
Nakładem własnym na prawach rękopisu — 99 egzemplarzy, s. 120.

DZWON NA TRWOGĘ

Artur Sandauer napisał był kiedyś, że arcydzieła nie trzeba szukać, gdyż kiedy narodzi się, wiedzą o nim wszyscy. Obwieszcza je bicie dzwonów, powszechne poruszenie, atmosfera czegoś wyjątkowego. Jeżeli tą miarą oceniać najnowszy tom poetycki Wiesława Kazaneckiego, na pewno trudno byłoby mówić o sytuacji niezwykłości. Zważywszy jednak, że „Koniec epoki barbarzyńców” wydał autor własnym sumptem w nakładzie dziewięćdziesięciu dziewięciu egzemplarzy, rozgłos, jaki uzyskała ta książka każe przyjrzeć się jej ze szczególną wnikliwością. Bo, istotnie, jest to pozycja wyjątkowa, ale jej wyjątkowość nie wynika bynajmniej z owej niezwyklej u nas formy edytorskiej (choć z pewnością fakt rezygnacji uznanego poety z pośrednictwa profesjonalnych wydawców wart jest zastanowienia); niezwykła jest przede wszystkim poezja wypełniająca ponad stustronicowy zbiór.

Każdy, kto bardziej wnikliwie interesował się twórczością Kazaneckiego, dostrzeże z pewnością ciągłość linii ewolucyjnej jego poezji, dla części odbiorców jednak „Koniec epoki barbarzyńców” może okazać się prawdziwym zaskoczeniem. Jakże odmieniona dykcja poetycka musiała wpłynąć również na kształt artystyczny kreowanej rzeczywistości. Lektura wcześniejszych zbiorów nie wykazywała bynajmniej na tak zdecydowane przewartościowanie, dopiero charakter pierwszego autorskiego wyboru poezji mógł stanowić pewien sygnał. Kazanecki dokonał bardzo ostrej selekcji niektórych swoich tomików, do innych przyznając się niemal w całości. Znaczący też okazał się tytuł całości wyboru — „Śmierć uśmiechu Giocondy”, wyraźnie wskazujący na kierunek dalszych poszukiwań artystycznych. W poezji Kazaneckiego dominował dotąd pewien chłód emocjonalny, co znajdowało swój wyraz przede wszystkim w postawie podmiotu lirycznego, który zajmował zwykle pozycję obserwatora. Poeta nie uwierzytelniał własną postawą ukazywanych prawd, a jakie to ma znaczenie dowiodły czytelnicze fascynacje poezją współczesnych poetów przeklętych. Konsekwencje tej postawy sięgały bardzo daleko; wydaje się, że zaważyła ona na recepcji tej poezji.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na wiersz rozpoczynający „Koniec epoki barbarzyńców”:

*Chciałbym pamiętać każdą minutę swojego życia.
Ale dni umierają nagle.
Opaska niewidzialna zakrywa moje oczy.
Nie chciałbym kłamać kiedy mówię: kocham.*

Osobisty charakter tego wyznania pozwala na nawiązanie jakże bliskiego, niemal intymnego kontaktu z odbiorcą, wytwarza klimat rozmowy, do której każda ze stron wnosi coś istotnego: poeta — autentyzm własnych przeżyć i odczuć, odbiorca — gotowość wysłuchania i przyjęcia. To

wartość bezcenna, bez której poezja staje się po prostu niemożliwa. Cóż z tego, że poeta będzie wygłaszał najważniejsze prawdy, skoro nie zyskał owego kredytu zaufania, który umożliwia rozmowę.

Kazanecki rozumiał, że nie wystarczy mieć coś istotnego do powiedzenia, trzeba — mówiąc patetycznie — umieć ponieść ofiarę z samego siebie, a przynajmniej być gotowym do poświęcenia głoszonych prawd. Czytelnik musi być przekonany, że jeżeli nawet poeta zwraca się bezpośrednio do niego z oskarżeniem, jak w tym wersie: „Bestię wojny wciąż karmisz pierściami jak z płócien Rubensa”, to w pierwszej kolejności obwinia za to siebie samego.

Diagnoza świata w „Końcu epoki barbarzyńców” nie odbiega w zasadzie od tej znanej chociażby ze zbiorów „Portret z nagonką” (Warszawa 1969) czy „Stwórca i kat” (Olsztyn 1982), by wymienić tylko te najważniejsze tomy poetyckie Kazaneckiego. Przekonuje o tym chociażby tytułowy wiersz nowego zbioru:

„Daleko zaszedł barbarzyńca. Zawsze ufał swej sile. Kiedy był słabszy — ginął. Gdy zwyciężał, maszerował wciąż dalej, aż ku kłęsce. Czczył największych zbrodniarzy, nazywając ich geniuszami wojny. Stawiał pomniki chwalcom rzezi, gwałtów i pożarów, nazywając ich geniuszami poezji. (...)”

Jednakże w omawianym tu tomie potrafił poeta wzbogacić artystyczne ujęcie przedstawionych zjawisk i — co nie mniej ważne — uniknąć jakichkolwiek jednoznacznych ocen. Akcenty zostały rozłożone w ten sposób, że granice między sprawiedliwymi i barbarzyńcami nie są tak łatwo uchwytnie. Nie ma to, oczywiście, na celu zamazywania winy, ale ukazanie niełatwej prawdy naszych czasów. Doskonale tę prawdę wyraża już choćby sam tytuł, który może oznaczać zarówno koniec epoki barbarzyńców jako ostateczną zagładę naszego świata, jak i koniec barbarzyństwa, chociaż trudno tu znaleźć przesłanki pozwalające choćby zarysować taką perspektywę.

Potrzeba szukania sensu, ta najbardziej humanistyczna z człowieczych tęsknota, zaowocowała wierszem, który nie waham się nazwać najpiękniejszym utworem cyklu zatytułowanym „Woda”:

*Kto podał jej truciznę i martwe ciało do kanału wrzucił?
Wylawiam szczątki Pięknej oczyszczam ze szmat i smarów
Układam na katafalku*

Jej twarz jak Morze Martwe.

Jej piersi jak Atlantyk.

Jej dłonie jak delta Nilu Amazonki Wisły.

Czerwiec zapala świece słoneczników.

Modlą się żalobnicy — widzę ich wargi popękane jak ziemia

Sahelu,

pierwszy dom pogrzebowy.

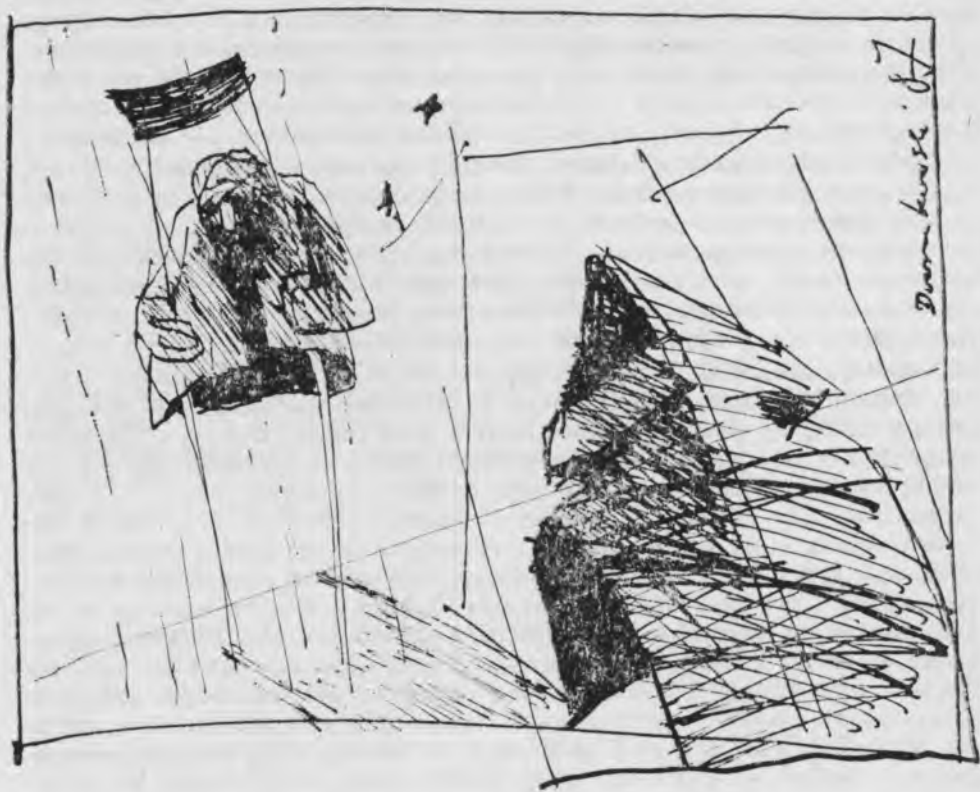
Układam dłonie pięknej na sukni z bezchmurnego błękitu.

Powiadam: cisza przystoi szaleńcom u schyłku dnia.

Jeżeli nie zatraciliśmy wrażliwości na słowa prawdziwe, wiersz ten powinien porazić nas wszystkich, którzy zniszczyliśmy tę najbardziej czystą z ziemskich istot. Od czasu lektury nie potrafię uwolnić się od wizji człowieka układającego „dłonie Pięknej na sukni z bezchmurnego błękitu”.

Kazaneckiego księga poezji stanowi fascynującą, w wielu miejscach wstrząsającą przygodę czytelniczą, warto więc podjąć trud dotarcia do jednego z dziewięćdziesięciu dziewięciu egzemplarzy.

Waldemar Smaszcz



ŚWIAT NIEPRZYJAZNY TAK BARDZO

Jeżeli „mieszkać” to znaczy żyć bezpiecznie na przestrzeni uznawanej za „swoją”, to świat Kazanekiego może być zaledwie miejscem, gdzie się przebywa, nawet nie poczekalnią, bo to implikowałoby jednak nadzieję.

Jest to przestrzeń nieprzyjazna tak bardzo, że rzeczywistość rozgrywa się na zewnątrz podmiotu lirycznego, który jest jej kronikarzem i ofiarą jednocześnie. Ta dwoistość, a więc z jednej strony konieczność bycia tu i teraz, a z drugiej związany z tym byciem psychiczny dyskomfort są dwiema dominantami, które konstytuują świat przedstawiony zarówno w jego statystyce jak i w ruchu.

Cechą tego świata jest nie tylko alienacja czy też przemoc z jednej, a obrona i próby ucieczki z drugiej. Jest nią przede wszystkim zamieranie słowa jako środka porozumiewania się i oceny. W ten sposób świat ów staje się rzeczywistością podmiotów osobnych, które być może wewnętrznie zachowały jeszcze swą podmiotowość (co jest niesprawdzałne z wyżej wymienionego powodu), ale zewnętrznie nabierają cech rzeczy.

Owo cofnięcie się w siebie napędza jednak błędne koło zrywając ostanie więzi między osobami, a więc odbierając kolejny atrybut podmiotowości, jako że rzeczy nie komunikują się między sobą. W ten sposób podmiot może jedynie stanowić *p r z e d m i o t* oddziaływania z zewnątrz i w wierszu „W systemie dziesiętnym” tak się właśnie staje. Tu człowiek równa się rzeczy, chociaż nie zawsze jest to przekształcenie doskonałe.

Władca z tego wiersza co dziesiątego zakuwa w kajdany (a więc jednak obawia się oporu), co dziesiątemu daje karabin do rąk (a więc zostawia pewien margines działania, zauważmy, że destrukcyjnego), co dziesiątego knebluje chlebem, pozostałe siedem dziesiątych przemienia w szczeble drabiny prowadzącej do nieba, po czym nieoczekiwanie wyłamuje je i rzuca na wielki stos działając tu w oczywisty sposób przeciw sobie, a przynajmniej przeciwko celowi jakiego obrał, czyli zachowuje się jak szaleniec.

Kiedys Znaniecki formułując swą teorię jaźni odzwierciedlonej zauważył, że dla prawidłowego myślenia konieczne jest by nieustannie otrzymywać o sobie informacje od innych. Ta myśl, czy może raczej intuicyjne przeczucie poniżej progu werbalizacji pojawia się teraz u Kazaneckiego: zamiana w rzeczy, niszczenie przez odebranie możliwości porozumiewania się pozbawia całą rzeczywistość elementu porządkującego, jakim jest zdolność adekwatnego osądu i zamienia ją powoli w śmietnik.

Pozostaje ucieczka. W pewien sposób próbował jej wspomniany władca. Próbuje jej także podmiot liryczny. Obydwu uwikłanym w byt jako jedyny dostępny, pozostaje tylko ruch w górę (częsty motyw u Kazaneckiego), bo wtedy jest się częstką świata i jakby jednocześnie nie jest. W samej rzeczy podmiot liryczny jest „ponad”, niekiedy także w sensie fizycznym, ale „ponad” to właściwie gdzie? „Góra” to bliżej nieokreślone miejsce, które oddzielone jest od świata rzeczy strefą ruchu. Stratyfikacja ta, a także owo niedookreślenie widoczne są szczególnie w wierszu „Woda”: podmiot wyławia szczątki Pięknej z kanału, unosi je po to, żeby ułożyć na katafalku. I to właściwie koniec. Szczątki Pięknej oczyszczone ze szmat i smarów zostały wprawdzie uniesione wysoko, ale cała akcja zakończyła się właściwie klęską i oprócz mało znaczących zabiegów estetycznych pozostaje jedynie cisza, która „przystoi szaleńcom u schyłku dnia”. Tak więc to piętro „nad” nosi co prawda ślady operacji porządkującej według pewnych kryteriów choćby tylko estetycznych, ale właściwie niewiele się różni od tego, co zostało „na dole”.

Toteż pozycja „na górze” jest pozycją niepewną. Podmiot w każdej chwili może znaleźć się z powrotem „na dole”, być może podświadomie tego pragnie, skoro w wierszu „Władca gramatyki” określa dosyć zaskakująco ciemności tam „na dole” jako „najsłodsze jak pieśń”, zaś w wierszu „Ja pajak” notuje swoją pozycję „na skraju wielu przepaści”, a działając jako osuwanie się powstrzymane zresztą pajęczą siecią, a więc czymś nietrwałym.

Tak więc ucieczka w górę udaje się tylko połowicznie i nie uwalnia ani od lęku, ani od groźby stoczenia się w przepaść. Pozycja (sensu largo et stricto) podmiotu lirycznego pozostaje niejasna, a jego uwikłanie w świat barbarzyńców szczególnie z tej perspektywy widoczne.

Okazuje się więc, że wycofanie jest niemożliwe ani dla podmiotu lirycznego, który zajmuje jednak wobec rzeczywistości pozycję nadrzędną (choćby z tej tylko racji, że przekazuje komunikaty na zewnątrz), ani dla ludzi z tej rzeczywistości nie wyodrębnionych. Pozycja „ponad” może też kończyć się skokiem w dół jak w kapitalnym wierszu „Na krawędzi”, w którym skupia się kilka motywów powtarzających się w tym tomiku. Oto zakończenie tego wiersza:

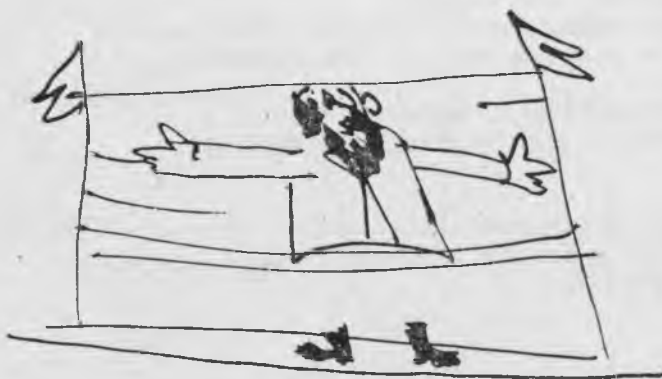
*Niekiedy
znad krawędzi
wyrastał Ktoś z nas ponad tłumy,
wolał: — Rodacy,
teraz już wszystko będzie
dobrze;
i skakał w dół.*

Jak zatem autor rozwiązuje w końcu sytuację, w której znalazł się podmiot liryczny?

Rozwiązanie polega na konstrukcji (a więc uporządkowaniu) świata paralelnego do rzeczywistego zbudowanego z materiału, który wala się tu i ówdzie w powszechnym bałaganie. Jak to zostało zrobione możemy zobaczyć w wierszu „Krajobraz po uczie”.

Poezja Kazaneckiego nie jest bowiem próbą powrotu do raju idei. Jest to raczej transformacja brzydoty rzeczy w brzydotę symboli, ucieczka z rzeczywistości w rzeczywistość snu, który może jedynie powstać z materiału skażonego grzechem pierwotnym swego pochodzenia. Jest to porządkowanie poza obszarem, w którym taki porządek ma rację istnienia. Kazanecki odwołuje się do triady: idea — byt — idea by pokazać, że byt, który oderwał się od swego idealnego pierwowzoru może wyemancypować z siebie jedynie kaleki fantom. Język poetycki czy też świat przedstawiony nie dokumentuje tu ani powrotu do źródeł, ani nie obiecuje oczyszczenia. Podmiot pozostaje albo w świecie surrealistycznego snu („W takim świątecznym stroju”), albo w świecie niedookreślenia czy zawieszenia. Adamowi wygnanemu z raju dano szansę stworzenia własnego świata. Teraz pozostaje mu jedynie sen lub poezja. Przynajmniej dopóki nie nastąpi koniec epoki barbarzyńców.

Andrzej Gacko



Stefan Kamiński

...i nad tarasem wschodzi czysta gwiazda

*To jest skrzyżowanie zawałonych śniegiem dróg.
Wigry — drobina sitowia.
Tu.*

*Z głową opartą na wyschłym ramieniu.
Twarz bez jednej kropelki krwi.
Zawierzył spróchniałemu drewnu i
W nim tylko znalazł oparcie.*

*A dookoła wiatry znęcają się nad ubiczowanym sitowiem
Wykonało się czysta gwiazda wschodzi nad księżycą nowiem.*

*Więc i mnie niegodnego wpisz w ten czas surowy.
Musimy.
Domy stawiać, światła w nich pozapalać.
I wykopać strzeleckie rowy.*

Zostaliśmy sami jak Ty.

*...a kiedy zawiedzie pomoc i uleci pociecha
Boże Bezbronnych bądź ze mną.
Cornelius Ryan „O jeden most za daleko” część piąta
Strona 513,
Kocioł czarownic.*

...i nad tarasem wschodzi czysta gwiazda

*Władza nie może aż tak się sponiewierać.
Mówi strażnik nocny dzwon bije na wieży.
Ja wiem że to więcej niż trudne,
Powtarza dzwon swoich dwanaście uderzeń.*

*Bez lęku tutaj śpij w tym hoteliku powiatowym.
Władza na ulicy jeszcze nie leży.
Wyłącz radio, wyłącz telewizor głupawy, niech zaśpiewa
Na przepustce w środku tej nocy kilku żołnierzy.*

*Lampkę łagodną zapal na stoliku.
Władza na ulicy w tym mieście jeszcze nie leży.*

Panu Wojciechowi Jaruzelskiemu przypisane o północy
w cieniu Bazyliki Mniejszej w „Hotelu na Skarpie”
w Sejnach.

(..)

Anna Markowa

Naprawiacz zegarków

*Zakłamał się tak głupio
Jak w starym dowcipie
Ze już nie wie „czy wtorek
Czy Nowa Zelandia”
Ma cały worek złudzeń
Ze cenią go ludzie
Za obiektywne sądy
Wyważone zdania
Za to że jest centrystą
Apostolem Środka*

Zaklamal się tak głupio
Ze ciszy nie czuje
Zamknięty w gabinecie
I w komicznej funkcji
Do specjalnych poruczeń
Ale niezbyt ważnych
Pisemko zręczne splodzić
Na list odpowiedzieć
Byleby niezbyt szczerze
Nie nadto odważnie

Ma bardzo dużo czasu
Który jest jak piasek
W zabytkowej klepsydrze
Bez szmeru przecieka
Słabego człowieka
Mocodawcy traktują
Jak palto w pustej szatni
Jak parasol stary
W biurze rzeczy zagubionych
Raczej niepotrzebnych

Ma bardzo dużo czasu
Naprawia zegarki
Ucho w telefon wkleja
Papierosy pali
Czasem ktoś z nim pogada
O głupstwach powszednich
Miłosiernie opowie
Aktualne brednie
Z życia sfer dosyć niskich
Potem — idzie dalej

Dla kłamców — nie dość kłamcą
Dla odważnych — tchórzem
Dla ambitnych — zmęczony
Na rentę — zbyt zdrowy
Więc naprawia zegarki
Które mu przyniosą
Litościwi koledzy
Z pokoi biurowych
I udaje przed sobą
Że jeszcze jest rano
A jego czas już martwy
Jego zegar stanął

Twierdza

Do stęchłego mrowiska
Do klatek z betonu
Między kanapy szafy
Landszafty na ścianie
Niepewnym krokiem wracasz
Mówiąc, że „do domu”

Mówiąc „żeby odpocząć”
A to jest zdychanie

Tanio sprzedales bunt
I dawne rozpacze
Za piernaty wypchane
Wyleniałym puchem
A dzisiaj kiedy obcy
Do drzwi zakolacze
Zamykasz je starannie
Żelaznym łańcuchem

Kupiles zamek „Cerber”
Pod poduszkę chowasz
Sportową broń, bo taka
Przystoi mężczyźnie
Nie bój się — nikt nie wejdzie
Nikt nie powie słowa
Uawet pies stąd ucieknie
I mysz się nie wśliźnie

Spoglądasz przez „judasza”
Może idą oni
Groźni okrutni gniewni
Żeby wywlec z łóżka
Nawet we śnie uciekasz
Choć nikt cię nie goni
Wilgotnieje pod głową
Zmierzwiona poduszka

Po wódce mówisz dumnie
„Mój dom — moja twierdza”
Pokazujesz pijaczkom
Coś uciulać zdolal
Chroniczny katar duszy
A tu kąty śmierdzą
Twoim zgliwiałym strachem
„Jedźmy — nikt nie wola”



Wojciech M. Darski

Rybak

mówilem
słuchaj znam prawdziwego boga
mieszka w wielkim mieście
pełnym neonów kobiet i innych cudów
w ulicach pulsuje jego krew
nad którą czuwa ma w oczach zegary
i oddech który jest muzyką
potężnie brzmiącą w koncertowych salach
przemawia moimi ustami bowiem jestem jego synem
człowieczym
choć ze mną znajdować królestwo
lecz on nie oderwał rąk od sieci
tylko podniósł wzrok błękitny od nieba
wyżej
i dalej patrzył milcząc
na jasny lot mewy kreślony w przestrzeni
dostępnej mu
gdy wraz z rybami umierającymi w łodzi
śpiewał psalm
i to on mnie złowił
kiedyś w nocy przyszedł do mnie po falach
a jego kroki odsłaniały gwiazdy w głębinach
jakich nie znałem

Andreas: list z wyspy

dzisiaj
nad moim domem
rozpierzchły się ptaki
srebrny klucz drapieżników
przeleciał nisko w stronę libijskich brzegów
morze przypominało ołowianą kopułę
i było bardziej śródziemne
niż zwykle
na czubku pędzla zasechl kolor
nocnego koszmaru
dlatego nic nie wyszło z pejzażu
prócz nagich jak kości skał wybrzeża
pamiętasz moją twarz
malowaną na asfalcie
rozjechaną oponami czekającą
by ucałować czyjeś stopy
i tę małą która zdjęła pantofle
powiedziała — teraz czuję
ziemia jest twarda lecz tętni jak serce
nie jestem samotny
oswajam dzikie psy i przemytników
moja łódź żegluje po niebie
zatopionego miasta
słyszę rozmowy
śmiech kurtyzan przebija zasłonę wieczoru
i wpada ostatnim promieniem na płótna
przybądź tu
linie naszego przeznaczenia pasują do siebie
na tyle
żeby dłonie mogły się spotkać
zaś do morza wrzucimy pustą butelkę

(Tarragona, kwiecień 1986)

Jan Leńczuk

★ ★ ★

*nie wiem czy patrzysz w ziemię
nie znam Twojego wzroku
czytam drogi pokrętne
w narastającym mroku*

*raz chociaż chciałbym usłyszeć
niebo rozprute pytaniem
dokąd podążasz synu
nad świtem w płonącym sumieniu*

*słowa przyjaciół pobladły
ropieją lata garbate
czemuś mnie Panie nie przewiódł
przez Ucho Igielne jak brata*

*zabrakło we mnie świtania
zimne już oczy tej ziemi
czemuś mnie Panie nie przewiódł
przez Ucho Igielne świata*

*słyszysz ten rechot biesiadny
stoły już tańczą kankana
pozwól mi Panie usłyszeć
brata mojego westchnienia*

*belkotu wielkiego mi oszczędź
niech język rozpowie ciału
nie cheę byś mnie zostawił
w ciemnych rozstajach*

*i znowu śpiewy ponure
lata zgonione przystają
gdzie Twego wzroku mam szukać
mój Ty milczący Panie*

przypisane Hatifowi al-Dżanabiemu



Jerzy Plutowicz

Goście

Znowu wbiegamy po krętych schodach.
(Dzieciństwo jest wiecznym krużgankiem).
Kto tu wypływa łodzią? (Woda ciężka jak srebro i beton.)
Przychyleni w niepamięć czekają na zmianę warty.

Galązka wiatru. Pościel ożywcza jak studnia.
Okno otwarte na sen, jego przyplływ.
Byłeś wybrańcem losu, więc czemu przedmioty
budzą lęk jak muzyka,
muza lęku.

Obchodzimy mapę
z nakreślonym szlakiem do wyspy niczyjej,
zasuszoną wstążkę
dziewczyny o oczach cierpkich jak rtęć i wino.
Obchodzimy puste krzesła,
choć nie dogasł jeszcze niedopalek w popielnicze,

puste lustro
skręcające w wyziębiony korytarz.

Tak jakbyś spóźnił się o igielkę cienia tylko,
choć ostatni autobus odjechał sto długich lat,
długich jesieni temu.

Tak jakbyś oślepił cię widok splecionych ciał.
Tak jakbyś rozwiązał szkolny rebus.

Odpocznij.
Usłyszysz jak rdza powleka klucze.

Andrzej Szadkowski

★ ★ ★

znowu jestem tutaj

jeszcze raz palę mosty
(ile razy można palić mosty?)
jeszcze raz słyszę widzę czuję
jeszcze raz?

a może to właśnie jest raz pierwszy

jestem i mówię sobie
że przecież tutaj się urodziłem
a wszystko inne to igraszki losu

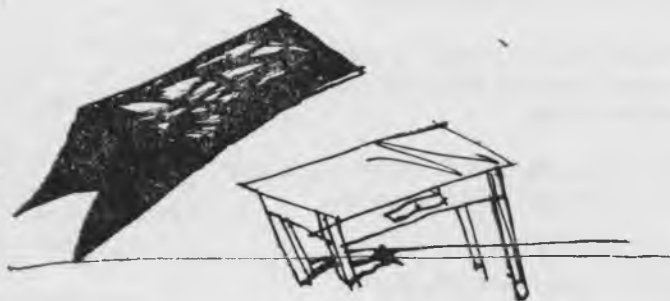
jedyna rzecz warta cokolwiek

★ ★ ★

*companero Neruda
uczę się od ciebie pisać o miłości
i od czerwieni odróżniać czerwień
w kraju gdzie upodobaliśmy sobie niepewne odcienie
copanero Neruda
nie proszę abys pomógł odzyskać niewinność
tej nigdy nie miałem w nadmiarze naucz mnie jednak
jak w słońcu zanurzyć się podobnym do brzęczenia pszczoły
i ze skóry kobiety sól zlizywać o piątej nad ranem
copanero Neruda
twoje wiersze uratowały mnie*

★ ★ ★

*ta róża tak piękna od tygodnia
nieomal jak zabalsamowane zwłoki
patrzy na mnie z obojętnością przedmiotu
wstrzymuję oddech
pochylony nad nią
szukam ukrytych znaczeń*



Alicja Rybalko — 27-letnia absolwentka Uniwersytetu Wileńskiego i **Wojciech Piotrowicz** — dziennikarz, redaktor audycji w języku polskim Radia Litewskiego są członkami Koła Literackiego przy redakcji polskojęzycznego dziennika „Czerwony Sztandar” wychodzącego w Wilnie.

Alicja Rybalko

Spojrzenie w świetlaną przyszłość

*Skandalu nie będzie.
A szkoda.
Bo jakoś tak było nudno.
Popłyną lata i woda,
i życie jak z norek futro.*

Będą za to kłopoty — niecnoty,
pogawędki z ptysiową beztroską,
powroty,
głowy zawroty,
szkalperzyk z Matką Boską.

Ale świat już raczej nie runie,
nie wyskoczy tysiącem okien
i nie spojrzy z ramek babunia
swoim piwnym karcącym wzrokiem.

Nie zapytam: za co, dlaczego —
swego szczęścia któż nie docenia?
Będzie takie szczęśliwe
NIC.

Nic nowego,
pa,
do widzenia.
1986

★ ★ ★

Kiedy już nie będę mogła nic napisać,
dam się zastrzelić.
Najlepiej w pojedynku.
Ktoś ułoży wiersz pt: „Na śmierć poety”,
a ja przeczytam i powiem:
Owszem, dobrze zrobione,
ale mnie to zupełnie nie interesuje.
1986

Rok po ciężkim dniu

Ocemniała ulica po zaspach się wlecze.
Śnieg zasypał latarnie po szyję.
Tratowało mi oczy tyle różnych rzeczy —
aż dziw, że dotychczas żyję.

Jak tu z duszą rozwianą.
gdy jest zimno i ciemno,
iść z szybkością stu spraw na godzinę?
Aż się boję pomyśleć,
ile jeszcze przede mną
Nowych Roków, świąt i choinek.
1987

List

Tak bardzo bym chciała
móc ci napisać coś radosnego:
już się więcej nie smucę
już wszystko mi idzie jak z płatka
już świat jest taki piękny
że ach
już więcej nie piszę wierszy

1987

Wojciech Piotrowicz

Wspomnienie Wilna

*Wartko Wilenka się toczy,
Łąki i wzgórze obiega,
Wierzbom całuje warkocze
Rzeźwiący nurt świeży.*

*Rozsrebrzy się, rozmigoce
Lustrzana Wilii wstęga,
pełniący wartę przegląda czas
Z wyżyn zamkowej wieży.*

*Od Ostrej Bramy
Kręta i wąska
Uliczka wiedzie.
Gdzie słowik kląska.*

*Miłość na wieki,
Dwie rzeki modre —
To tylko Wilno
Tak dla nas szczodre.*

*Wspomnienie w nucie i słowie
Niech się łuki przewiną
W Anny gotyckiej budowie,
Rozkoszy baroku.*

*Niech dźwięczy pieśń, co opowie
Falom i wam, i wierzbynom
O szczęściu, które spotkaliśmy tu
Pewnego pięknego roku.*

*Od Ostrej Bramy
Kręta i wąska
Uliczka wiedzie,
Miłość na wieki
Dwie rzeki modre —
To tylko Wilno
Tak dla was szczodrze.*

15.06.1983 Wilno

GDY NIE MOŻNA IŚĆ DALEJ

„Bezsensowny ale jedyny” — tak w zakończeniu wiersza „Saturn — Koziorożec” określa Eugeniusz Kurzawa kres ludzkiego życia — śmierć. Ale po lekturze całości tomu określenie to narzuca się również w stosunku do wszystkiego, co łączy się z wizją człowieka, życia, poezji, miłości, przedstawioną w tych wierszach.

Idea uczestnictwa poety w świecie jest prosta, zwyczajna i odwieczna jak każde humanistyczne dążenie: interesuje go drugi człowiek, ten który „siedzi, leży, stoi, płacze”, najzwyczajniejszy ze zwykłych, ześrodkowany w najprostszym „ty”, którym zwracamy się nawzajem do siebie. Poeta pragnie to zwykle ludzkie życie uczynić „arcydziełem istnienia”, pasjonującą opowieścią, czułą jak „bajka dla dzieci”. Między tęsknotą a spełnieniem rozciąga się jednak przepaść, otchłań bezsilności — trudna do przekroczenia, gdyż zawładnęła nie tylko „przestrzenią” między ludźmi, lecz także każdym z nas. Zawładnęła również poetą. Jest „chory nieuleczalnie, jąka się”. Jak wszyscy dookoła, niesie swą „zaraźliwą przepaść” przez świat i przez życie — on, poeta, „ślepiec dwudziestego wieku”.

Urodził się w epoce, gdy „skończyły się czasy poetów”, gdy już „nie można iść dalej”. Zdewaluowały się słowa. Pozwalają się kupić, sprzedać, upokarzać w sloganach. Zżerane przez korozję, mają już tylko wartość złomu. Jak ze złomu zbudować rozmowę? To pytanie wydaje się kluczowe dla twórczości Eugeniusza Kurzawy. Poeta próbuje przewyciężyć je poprzez paradoks; na początku zbioru umieszcza taki oto czterowiersz zatytułowany „Z drzwi”:

*Wejdźcie przyjaciele
Siadajcie.
Nic nie mówcie
Porozmawiamy.*

Po tym wierszu mogliśmy spodziewać się już tylko pustych kartek. Gdzieś w świecie ukazała się taka książka. Ktoś doprowadził do krańcowych konsekwencji podobną wizję słowa. Ale koncepcja taka nie łączy się z żadną nadzieją. Nie można zaakceptować jej, jeśli obchodzi nas los ludzkiego świata. Kurzawa wybiera zatem drogę bardziej dramatyczną. On postanawia mówić, mimo wszystko. To prawda, że słowa są skarłale i chore; są „bezsensownym” ale również — jedynym dostępnym nam sposobem prowadzenia prawdziwej rozmowy.

Czytając wiersze ze zbioru „Nie jesteś tu” obcujemy ze świadomością konsekwentnie tragiczną. Piętno tego tragizmu odnajdujemy we wszystkich częściach składowych opowiadanego przez poetę świata. W kosmicznym jego wymiarze nawet najświętsza wartość — istnienie człowieka — nie wydaje się elementem koniecznym. W jednym z najlepszych wierszy zbioru poeta kreśli wizję takiego właśnie hipotetycznego świata bez ludzi:

*nic by nie było
nie byłoby też pustki
świat nie straciłby oddechu
na chwilę
nieznane utęsknienie
unosiloby się w przedświatach
nikt nie pragnąłby zaznać tego
istnienia*

nie byłoby luki która tak szczelnie
się wkrótce zasklepi,
jak gdyby nie było
nic
(NIC)



Podobna zbędność rządzi życiem każdego człowieka. Brak „wyższej konieczności” czyni je „tandetnym” jak w utworze zatytułowanym „Spektakl”, powtarzalnym aż do znudzenia, jak w wierszu „Autor nieznan”, nieznaczącym, ulotnym i małym jak w „Soczewce”. Nieustannie obecna jest w nim śmierć. „Zaczyna się /zaraz na werandzie od schodów w górę/ nocą” („Przed moim domem, przed moim życiem”), „Zaczyna się w mózgu” („Marie Francois Xavier...”). Nasze życie jest tylko „odpryskiem pioruna” blakającego się w „spadaniu na ziemię” („Wielkie kwantyfikatory”).

Uparto próby poetyckiego zdefiniowania śmierci, uchwycenia jej na „gorącym uczynku” zaowocowały w tym zbiorze najprawdziej ludzkim gdyż najprostszym z możliwych jej obrazem:

*pewnego dnia po prostu
sen będzie trwał
nadal*

(Odejście).

W tak rozumianym wymiarze ludzkiego życia i śmierci każdy nasz czyn, każda prawda, idea lub dążenie też musi być skarlale, nieważne i bezsilne. Znamienny w tym względzie jest krótki wiersz — aforyzmem pt. „Recenzja ze spotkania literatów w Gnieźnie”:

*Marek Hlasko mówił:
Chrystus chciał uzdrowić
naród*

to go ukrzyżowali.

Nie należy się wygłupiać.

Cóż z tego, że poeta naznacza taką postawę odcieniem ironii. Tam, gdzie „są do odegrania tylko lapidarne role”, gdzie prawdy „zatrute”, a każde ludzkie „nie” jest bez znaczenia, posiada ona znamię jedynej recepty na życie. Co jest zatem możliwe? Poeta odpowiada: tylko „przejszcie pasami na drugą stronę ulicy”.

W tak urządzonym świecie nie można już „pójść dalej”.

Dlatego też Kurzawa nadaje swojemu światu jeszcze jeden, chyba najistotniejszy wymiar. „Wszystko jest ważne” — mówi — „każdy oddech we wszechświecie /każda śmierć życie: matka/ zapachy góry ścieżki czas” („Wszystko jest ważne”). Mówi gorączkowo, pośpiesznie, jakby obawiał się, że zabraknie mu czasu, aby wreszcie powiedzieć ludziom:

— Mimo wszystko! Najmniejsza nawet cząstka świata, każdy odruch człowieczy, cierpliwość i niecierpliwość, dotyk radości i zdrada, „muzyka kajak cukier” — to wszystko jest ważne, najważniejsze!

I wreszcie, w wierszu pt. „Fragment” ponawia — w zachwyceniu — odwieczne ludzkie wołanie:

*„Słońce, Ty Boże jasny” budujesz
takie piękno że nie wiadomo
co robić.*

Dopiero zatem obecność w „nie-pustym” już świecie „Boga jasnego” (nieważne jak wyobrazimy go sobie — pod postacią Słońca czy Ducha!) umożliwia istnienie piękna, zachwyty, prawdy. I tylko w takim świecie jest miejsce na nadzieję. Życie ludzkie przestaje być przypadkowym, ledwie tolerowanym intruzem. „Bóg jasny” uświęca je, uprawomocnia, czyni koniecznym, tajemniczym dopełnieniem Siebie.

Kurzawę interesują więc najważniejsze egzystencjalne sprawy świata i człowieka. Zbyt rzadko jednak udaje mu się połączyć je z konkretnym miejscem i czasem naszej współczesności (czyżby w imię zasady, że „nie należy się wygłupiać?”). Również w sferze języka poeta nie odnalazł jeszcze zdecydowanie własnego oblicza. Posługuje się głównie trzema rodzajami poetyckiej mowy: aforystycznym skrótem, anegdotą oraz — najmniej chyba szczęśliwie — tzw. małą metaforą. Najlepsze wydają się wiersze, w których dominuje język anegdoty (np. świetna „Korekta”);

natomiast tam, gdzie poeta nadmiernie zawiera modzie na metaforę, tworząc konstrukcje w rodzaju „ściśniętych gardeł miasta”, „ścieków myśli” czy „przeoranych pól czasu”, bywa pretensjonalny, pseudopoetycki, sztuczny.

Życzyć mu zatem trzeba tylko większej odwagi mówienia językiem własnym, możliwie najbardziej zgodnym z jego osobowością i wrażliwością.

Wiesław Kazanecki

Eugeniusz Kurzawa „Nie jesteś tu”, Krajowa Agencja Wydawnicza, Białystok 1986, s. 94, cena 120 zł.

MILCZENIE KASSANDRY

O świecie przybijamy do Argos i kiedy tloczymy się na brzegu i płączemy więzy poganiani przez zniecierpliwionych nadzorców ziemia długo jeszcze kołysze się pod naszymi stopami. Nic nie wiem o swoim losie, choć domyślam się, że jest to ostatni ład, po którym stąpam teraz niepewnym krokiem okaleczonego jeńca. U końca tej drogi, pnącej się pośród nieprzyjaznych skał i obumierających krzewów, widzę kamienną koronę królewskiego pałacu, po której spływa krwawe złoto wschodzącego słońca. Czego mogę się spodziewać po mieszkańcach tej nieprzystępnej twierdzy i surowej krainy, zupełnie niepodobnej do żyznych równin ojczyzny?

Bezładny orszak zwycięzców, otoczony dziwnie obojętnym tłumem starców i kobiet, rusza stromą drogą ku wyniosłym murom, do których dostrzemy przed zmierzchem. My idziemy na końcu, opuszczamy wilgotny cień morskiej zatoki, który przynosił wprawdzie ulgę płucom, lecz bezlitośnie przesycił solą rany. Po chwili nasze ciała pokrywają się żółtym pyłem obcej ziemi, który miesza się z naszym potem i natychmiast zasycha w gruby, spękany pancerz. W tym długim marszu pod górę ponownie stajemy się wojownikami, ostatnim ciężkozbrojnym oddziałem naszego nieszczęsnego króla i jego zrównanego z ziemią miasta. Przebyć tę skalistą drogę bez lęku i ponizienia — oto nasza ostatnia okazja do bohaterstwa. Bohaterstwa może najtrudniejszego w tej bezsensownej wojnie, która ściga swe ofiary po najdalszych zakątkach naszego świata.

Wszyscy jesteśmy ofiarami Apollina, najokrutniejszego z bogów. Jest wśród nas Agamemnon, którego dostrzegam z dala na czele pochodu, wjeżdżającego właśnie w mroczny wawóz pałacowej bramy. Matowe złoto jego hełmu gaśnie nagle, wchłonięte przez ciemność. Jest z nami Kassandra, córka naszego nieszczęsnego króla. Widzę ją tuż obok, z zamkniętymi oczyma i bladą twarzą, pokrytą pyłem, na którym dwie ciemne smugi łez odnajdują najkrótszą drogę od jej oczu do zaciśniętych ust. Wiem, że cierpi. Współczuję jej. Mściwy Apollo, odtracony zalotnik, obdarzył ją przeklętym darem wieszczania pośród głuchego na jej słowa tłumy. To on w istocie jest winien śmierci tych wszystkich którzy w ciągu dziesięciu lat wychodzili na pola pod Troją w nadziei, że ich siła i męstwo zdolają odwrócić przeznaczenie. Żaloszny Parys, omotany siecią intryg i postawiony w sytuacji niemożliwego wyboru, był tylko ślepym narzędziem i jeszcze jedną ofiarą tego straszliwego pysznego boga. Ja, bezimienny jeniec, mam odwagę przeklinać Apollina, rzeczywistego sprawcę wszys-

tkich naszych nieszczęść. Wszak człowiek stojący w obliczu rychłej śmierci może być czasem najodważniejszym z ludzi, albowiem odwaga bywa wówczas ostatnim głębokim haustem powietrza.

Zaistne godna współczucia jest Cassandra, rozgoryczona wieszczka, której nikt nie dawał wiary, kiedy przepowiadała nieszczęście. Ale czyż my wszyscy, którzy nie wierzyliśmy Kassandrze, nie jesteśmy bardziej godni współczucia? Wszak nasza niewiara była takim samym przeklętym darem Apollina, jakim był wieszczcy dar Kassandry. Kto właściwie został ukarany przez mściwego boga? Czy gdybyśmy mieli wiarę, wiarę przecież trudną w niejasne, obłąkane słowa Kassandry, moglibyśmy ująć przeznaczeniu? Oto pytania, które nie pozwolą mi zmrućnąć oczu tej nocy w kamiennych ciemnościach pałacowego lochu. Będę czuwał w pobliżu Kassandry i pierwszy usłyszę daleki krzyk grozy albo bólu. I zanim przebrzmi ów krzyk wyciągnę spętane ręce w mrok i powiem szeptem: Kassandro, jestem twoim bratem, ja ci wierzę, zrobię wszystko, czego zażadasz, odeślę Helenę do Sparty, spalę trojańskiego konia, będę wystrzegał się Ajgista i Klitajmestry. Ale Cassandra milczy, a ja zamykam wreszcie oczy i próbuję uwierzyć jej milczeniu.

Lesław Sadowski

PIENIĄDZE

To ci zdarzenie! Mało nie umarłem ze strachu! Pojechałem kiedyś odwiedzić rodzinną wioskę. Nie byłem tam ponad rok, wstyd mnie ogarnął. Droga od przystanku autobusowego wiodła akurat koło cmentarza. Samo południe — piękne, słoneczne. Bagażu miałem niewiele, raptem jedna wielka torba podróżna, jaką się zazwyczaj zabiera jadąc na wieś. Nie było mi więc ciężko.

Idę, znaczy, koło tego cmentarza i myślę: zobaczę, kogo to już nie ma wśród żywych. Do domu nie mam się czego śpieszyć. Może właśnie zjedli obiad i wybierają się w pole? Chodzę między grobami, aż tu nagle — mój Boże! Iwan umarł. Świeża mogiła z żelaznym ogrodzeniem, krzyż z czarnego marmuru skrzy się w słońcu. Kiedyż to się stało? Moi nic nie pisali. W końcu byliśmy przyjaciółmi, siedzieliśmy w jednej ławce. Wydawać by się mogło, całe życie przed nim. Chałupę piękną wystawił, kupił samochód, ma szklarnię. Chyba jeszcze nie wymyślono nic takiego, czego by Iwan nie miał. I masz ci los, wziął i umarł... Hm... Tu się nie wykupisz. Wetknąłem w mogiłę polny kwiatek i poszedłem swoją drogą. Stała mi przed oczami łąka zalana słońcem. Biegniemy z Iwanem jak niedyś, a on krzyczy, kiedy go prześcignąłem:

— O, jaki chytry! Tobie łatwiej, bo masz dziurę w spodenkach!

Tak... teraz pewnie biorą się za łby przy podziale majątku. A może już wszystko rozdrapali? Nie szkodzi, że był samotny. Jak co do czego, to tyle się krewniaków znajdzie, że batem nie odpędzisz.

— Jak się masz! Tyle lat! — przerwał ktoś nagle moje rozmyślenia.

Oglądam się i aż mi w oczach pociemniało. Rany Boskie! Iwan-nieboszyk z tyłu!

— Jaak się maasz. Ttto tty? — szczękam zębami z przerażenia.

— No, co? Nie poznajesz, brachu? — próbuje mnie objąć. — Co z tobą?! Chory jesteś?! Zbladłeś jak ściana.

— Niic. Ale ty przecież... Ty przecież umarłeś. Byłem przy twoim grobie.

— Ha-ha-ha! — zarechotał — No, tak... Widzisz, bracie, tam też trzeba żyć. A że byłem najmłodszy, to mnie wysłali po zakupy.

Usłyszałem to i w nogi. Dopiero na czwarty dzień doszedłem do siebie, kiedy ojciec mówił do matki:

— Iwan zgłupiał do reszty! Pomnik sobie na cmentarzu wystawił. Widzisz, co pieniądze robią z ludzi?!

tlum. z białoruskiego Anastazja Szachowicz
Michał Szachowicz

ZNALEZISKO

— Dobre i to, w gospodarstwie się przyda — powiedział Iwan, podnosząc coś z ziemi i chowając w kieszeni. Klaniając się nisko, pozdrowił jeszcze sąsiadkę, która pielila ogródek i zawrócił w stronę swojego podwórza.

A Matronę poderwało jakby kto ją dynamitem nafaszerował. Rzuciła motykę — i smyk do chaty.

— Iwan coś znalazł. I to akuratno koli naszej chaty. Motykuje ja truskawki na ogrodzie a on idzie ulico. I raptem chap, schylił się do kieszeni. Przysiadła ja za płotem i patrze przez sztachety. On mnie nie widzi a ja jego widze. Popatrzył on dookoła czy nikogo nima i prawie biegiem na gumno albo w chlewie się ukrył. I widzisz, akurat naprzeciw naszego domu — tłumaczyła podekscytowana mężowi. — Najpewniej nasza czubotka jajko zgubiła. Ot, jaka paskudnica, kurnika się nie trzyma. Albo w pokrzywie Haurylanki się niesie, toż znowu na ulicy gubi. Ot paskuda... A mnie durnej nie wyjrzeć na ulice i nie rozejrzeć się dookoła? Na pewno jej jajko, bo w sam raz w garści się zmieściło...

— A tyż nie pomyślała, może pies coś w nocy wywlókl. Czort kosmaty nie pies! Wszystko porozwleka. U innych to psy na swoje podwórze wszystko wloko, a ten, czort go wie co to za stworzenie... Chwiedorou to dwa worki do budy przyniósł. Do hycła go oddam!

A Haurylanka, u której to w pokrzywie Matrony kura się niosła, także baba nie lykłem szyta. Przydybała przy stodole swojego Hauryla i poczęła przy nim rękoma jak wiatrakami obracać:

— I zobacz, on to musiał znaleźć przy naszym płocie. Wypędzam ja z podwórza Kirylawych gęsi, żeb je cholera podusiła, całe podwórze zapaskudzili, aż patrze Iwan sobie ulice poszedł... Niby normalnie, aż raptem — cap, coś z ziemi podniósł, pod pole schował i popędził, nie ogładając się, do domu. — Nic innego, jak pewnie dzieci coś z chaty na ulicę wywlókły. Ile razy już mówiła, zdjólbyś pasek, zerznij im tyłki, żeb na całe życie im w pamięci pozostało, to ty zawsze nie i nie. To teraz masz, wywlekli coś — i przepadło. Dobrze ci tak!

Wtedy to i Kiryły żonka akurat szła z workiem po torf za stodołę. Pod słuchała rozmowę, worek rzuciła i pognąła do chaty.

— No i tak, Iwan coś znalazł! Na ulicy! W sam połudzień. Prawie, że koło naszej chaty. Tam, gdzie Hauryły płot się kończy. Coś długiego, ale pod pole marynarki się mieści. Na pewno trzpień od łańcucha, który krowa zgubiła. Wszędzie my go obszukali, a on widzisz gdzie był! Z

ciebie też dobra fujara! Zamiast na ulice wyjrzeć, to nie, łazisz gdzieś po polach! A teraz fige ci odda! Chyba, że pójdziesz do niego... Nu, jak myślisz?

Iwan akurat siedział w swojej chacie i guzik od spodni przyszywał, kiedy zauważył przez okno Matronę jak prosto do jego chaty szła, za nią pędziła Haurylanka a dalej dreptała Kirylicha.

— Iwanku kochany i dobreńki, ty niedawno szed ulico, czy nie znalazł ty czasami jajka? Paskuda nie kurka, gdzie chodzi tam i jajko znie-sie.

— No co za dzieciska mam — lamentowała czerwona z oburzenia Haurylanka. — Wszystko z chaty powynoszo i porzuczo pośrodku ulicy. Nie znalazł ty czasami czego Iwan?

— A może ty czasami trzpień nasz znalazł? Mówiła ja nie raz swojemu durniowi, przywiąż ty go jak trzeba, to nie, jak grochem ob ściane. No, i masz — zgubiła A w gospodarce trzpień potrzebny. Nie ma na czym krowy uwiązać i choć ty się rozplącz.

— O, tak, w gospodarce wszystko się przyda. Ot na ten przykład, dzisiaj idąc guzik ja znalazł, wrzucił w kieszeń i myślę — głupstwo, ale niech będzie. Przychodze ja do chaty, patrze, a tu w spodniach guzika nie ma. I gdzież bym go zgubił?... Nie znalazły wy baby czasem mego guzika?...

tłum. z białoruskiego: Jan Leończuk
Michał Szachowicz

STAN NA DZIŚ

Ponieważ nie mam zamiaru pisać historii literatury białostockiej (o ile takowa w ogóle istnieje) nie będę się zagłębiał w lata minione. Dla mnie pewna sprawa rozpoczyna się od momentu, gdy przybywając do Białegostoku obserwuję duże rozbitcie środowiska literackiego, jego nieobecność w życiu kulturalnym miasta i regionu, brak pełnego zainteresowania tu-tejszą literaturą i jej twórcami zarówno ze strony czytelników (może trafniej byłoby: potencjalnych czytelników), jak i kręgów opiniodawczych.

Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie przekracza moje teraźniejsze zamiary, bowiem równałaby się popełnieniu — mimo wcześniejszych zastrzeżeń — szkicu o historii środowiska literackiego, zmuszałaby do analiz, które pociągnęłyby konsekwencje w różnorodnej postaci, niezbyt obecnie pożądanej.

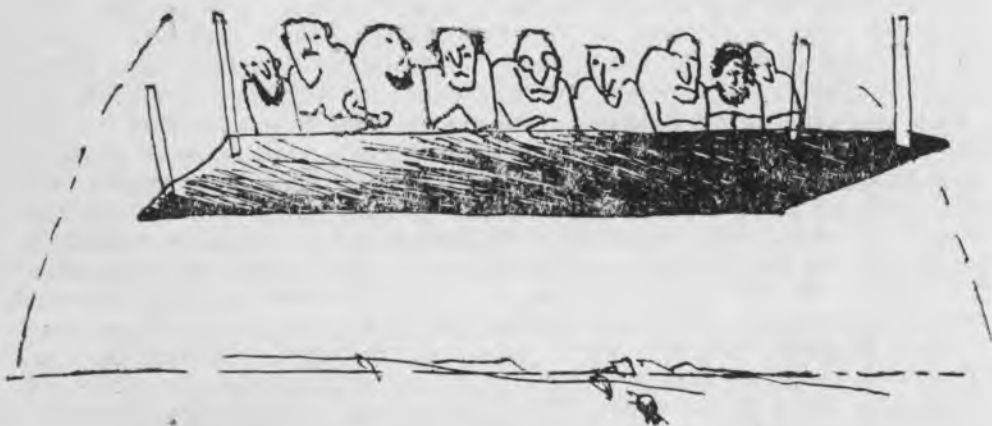
Jak jest obecnie? Z dyskusji, jaka się na przełomie roku 1986 i 1987 przetoczyła przez szpalty „Kuriera Podlaskiego”, z nielicznych prezentacji dorobku tamże, wreszcie z ostatnich wydawnictw miejscowych autorów (do czego także przyczynił się białostocki oddział KAW i WDK) wynika, że wprawdzie w rozbitciu, ale istnieją, funkcjonują — rzekłbym — literaci w Białymstoku i całym makroregionie północno-wschodnim. Ich nieobecność była i jest pozorna, a wynikała z dwóch przyczyn natury, można ją chyba tak określić, organizacyjnej. Po pierwsze: z braku stałego miejsca ekspresji twórczej (czyli pisma regionalnego o charakterze społeczno-kulturalnym), miejsca budowania wartości, opiniowania dokonań literackich (zresztą nie tylko, także teatralnych, plastycznych, muzycznych itd.). Po drugie: z braku ośrodka skupienia o charakterze organi-

zacyjnym, instytucjonalnym. Mogłoby to być pismo pokoleniowe (na przykład), powinien być — już dawno — oddział Związku Literatów Polskich. Oddział, albo inne tego rodzaju ciało, które zdolne byłoby do walki o miejsce literatury a potem literatów w życiu miasta liczącego, jak to się z dumą wszędzie podkreśla, ćwierć miliona mieszkańców.

Sytuacja twórcy była i jest nadal niewesoła mimo owego „ćwierć miliona” jako argumentu na postęp i rozwój. Wyobraźmy sobie bowiem, iż pozycje poszczególnych twórców, które ukazują się na rynku wydawniczym praktycznie nie mają gdzie być recenzowane. Dwie gazety wychodzące w Białymstoku nie są ze swej natury powołane do zajmowania się recenzjami. Jedyny miesięcznik stroni od tzw. literatury fikcjonalnej jak diabeł od święconej wody. Tak więc pozycje publikowane np. przez białostocki oddział KAW a napisane przez twórców z tego miasta czy regionu praktycznie — i tak się dotychczas działo — nie były poważnie recenzowane. Co najwyżej pobieżnie, po dziennikarsku, bo jakże inaczej w prasie może być, odnotowane. Nic nie wskazuje, iż nastąpią w tej materii jakieś zmiany.

W marcu 1987 r. powstał trzeci już, chronologicznie rzecz ujmując, Klub Literacki ZLP przy oddziale warszawskim Związku. Członkami Klubu — zgodnie z zapisem zebrania założycielskiego mogą być osoby tworzące, mające już jakiś dorobek w postaci przynajmniej jednej pozycji zwartej. Pierwsze zebranie zarządu (zresztą bardzo młodego, tworzą go wyłącznie trzydziestolatkowie) wykazały —gdy trzeba było sporządzić listę osób do przygotowywanego „Informatora bio-bibliograficznego środowiska literackiego”, że na terenie województwa białostockiego i suwalskiego (jest to teren działania Klubu) mamy przeszło 40 twórców z dorobkiem. Daje to średniej wielkości środowisko literackie, jeżeli przymierzać się do innych centrów kultury w kraju. A więc nie ma pustki, są twórcy, tylko rozbici, niedoinformowani, organizacyjnie słabi, bowiem dopiero grupa daje konieczną siłę przebicia, oczywiście wyłącznie w sprawach społecznych, bytowych i temu podobnych. Na niwie czysto literackiej każdy musi pozostać sam.

Rozpatrując szczegółowo trzeba powiedzieć o istnieniu twórców z różnym dorobkiem; przede wszystkim poetyckim i prozatorskim. Jest więc sześciu członków obecnego Związku Literatów Polskich przynależnych do oddziału w Warszawie (3), Olsztynie (2) i Krakowie (1). Jest także sześcioro kandydatów Związku, troje autorów należących do poprzedniego ZLP, kilkoro z takim dorobkiem, że wystarczyłoby złożyć podanie aby zostać zawodowym literatem w ZLP, oraz kilkunastu piszących spełniających już obecnie formalne wymogi kandydata ZLP.



Oprócz tego mamy dość bogate zaplecze z aktywnym Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy (właściwie jedyną organizację inicjującą okresowe spotkania dyskusyjne i twórcze artystów pióra: Wiosny i Jesienie Literackie). Istnieje również Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury oraz spora grupa pisarzy ludowych skupionych wokół Wojewódzkiego Domu Kultury, który wydaje im co jakiś czas arkusze literackie. Ilościowo więc — można śmiało powiedzieć — Białostoczczyzna przedstawia się nawet dobrze. A przecież Białystok może (i powinien) sięgać po ludzi do Suwałk i na Suwalszczyznę oraz Mazury, współpracować z Łomżą mającą bogate tradycje i Klub Literacki, podobnie jak Ostrołęka, gdzie tamtejszy Klub Literacki „Narew” jest przykładem aktywności środowiskowej zwłaszcza na niwie wydawniczej.

Potencjał jest więc nawet spory, warunki zewnętrzne — teoretycznie — dobre, plany, gdy idzie o Klub Literacki, ambitne. Własna jednodniówka, kontakty z Kołem Literackim przy „Czerwonym Sztandarze” w Wilnie. Informator Bio-bibliograficzny, tzw. wyzytówki literackie (forma wydawnictwa prezentująca sylwetkę każdego z twórców pióra z Białegostoku i regionu), spotkania wewnątrzklubowe, zapraszanie znanych literatów, włączenie się do Festiwalu Poezji i Muzyki (na zasadzie Dekady Pisarzy Białostoczczyzny), propozycja nagrody literackiej roku etc.

Co z tego uda się ziszczyć — trudno dziś powiedzieć Białystok nie miał dotychczas szczęśliwej ręki dla ludzi piszących literaturę piękną. Wisiało nad nim jakieś fatum, jakaś niemoc nie pozwalająca działać się życiu lite-



rackiemu, blokująca rozwój talentów i twórczości dojrzalszych artystów. Być może dlatego, że niektóre problemy nie zostały nazwane a przez to określone. Być może obchodzono je dookoła zaledwie dotykając, jątrząc gdy potrzebny był skalpel, potem lekarstwo, kuracja zdrowotna. Trudno mi — nieobecnemu wówczas — wyrokować.

O ile nie zagra — jak to często bywa — małostkowość, jakieś zadawione animozje, o ile uda się dyskutować na pewnym poziomie kultury (także osobistej dyskusantów), o ile konsolidacja powiedzie się w znacznej części środowiska, o ile zostaną wykorzystane pozytywne warunki zewnętrzne, życzliwość osób trzecich — to może się coś powieść. Mowa tu tylko o życiu literackim, wprawdzie mogącym częściowo wpływać na poczynania pojedynczych twórców, ale nie w sposób dominujący. Sama twórczość — to już problem indywidualny. I jest to zupełnie osobna opowieść.

Eugeniusz Kurzawa

Twarze JAZZU

BETTY CARTER

Jest żywym dowodem na to, że wielkość potrafi przetrwać i oprzeć się wszystkim modom. W ciągu całej czterdziestoletniej kariery nieprzerwanie rozwija się i doskonali swoje umiejętności wokalne. Jest pełna werwy i tryska energią. Nikt inny tylko zawsze uśmiechnięta Betty Carter.

W jednym z wywiadów stwierdziła: „... urodziłam się z dążeniem do wybicia się, do wejścia na scenę...”. Jednak jej kariera jazzowa była niechętnie przyjęta przez rodzinę. Ojciec i matka, niezwykle religijni, nie wierzyli, że śpiewanie w barach może mieć dobry wpływ na duszę. Uważali że córka popełnia prawdziwy grzech wchodząc do świata show businessu.

Trafiła do jazzu wraz z erą bebopu w latach 1947—1949 i od razu zetknęła się ze wszystkimi gwiazdami tej muzyki: Charlie Parkerem, Dizzym Gillespim, Sarą Vaughan, Thelonousem Monkiem i Milesem Davisem. Kiedy Betty Carter rozpoczynała prawdziwą karierę (1949 r.) Sarah Vaughan była już gwiazdą pierwszej wielkości. Betty jednak nie wzorowała się na niej. „Czarny” jazz nie lubi powielania. Postawiła wszystko na jedną kartę — musi być sobą — i właśnie ta karta okazała się najmocniejszą w całej talii jej innych walorów. A na dodatek postanowiła robić „kawał” dobrej muzyki.

Od pierwszego występu który odbył się podczas amatorskiego konkursu w Detroit zawsze była za „pan brat” z publicznością. Gdyby nie jej publiczność być może nigdy nie osiągnęła by tego, co posiada dzisiaj. Wszystko, co tak bardzo pomaga innym muzykom sprzysięgło się przeciw niej.

Płyty z jej nazwiskiem nigdy nie osiągnęły zawrotnych nakładów, nie miała nigdy prawdziwej reklamy, nie było jej na listach najlepszych przebojów, wtwórnice płyty obawiały się inwestować większe sumy w jej niepewną działalność. Wszystko, co osiągnęła zawdzięcza tylko ludziom, którzy przychodzili tłumnie na jej koncerty. Śpiewała w Apollo Theater trzy razy w ciągu sześciu miesięcy, a nie może się tym pochwalić żaden inny wokalista. Występowała u boku takich sław jak: Ray Charles, Brook Benton, Miles Davis oraz z bulesmanami: T Bone Walker, Muddy Waters, John Lee Hooker, Sonny Terry, Brownie Mc Ghee i Bo Diddley. Kilku właścicieli klubów, którym podobał się jej śpiew angażowało ją niezależnie od tego, czy przynosiła im jakieś zyski czy nie. Dla większości ludzi stanowiła absolutne zaskoczenie. Gdy zwracano się do niej z prośbą o występ motywowano to tym: „Ty wzniesiesz odmianę. Wstawimy cię w środek. Będziesz miała blues po jednej i blues po drugiej stronie”.

Jej pierwszym prawdziwym hitem okazała się płyta „It's My Turn Now” („Teraz moja kolej”). Krytycy jazzowi pisali wówczas: „Najwyższy czas, żebyś robiła to co robisz. Powinnaś być do tego już dawno”. Ale artystka twierdzi w jednym z wywiadów: „...Nie powinno to nastąpić dopóki nie nastąpiło. Jeżeli nie jesteś naprawdę gotów, możesz wszystko zaprzepaścić...” Dziś Betty Carter wydaje się być szczęśliwa, że jej kariera potoczyła się właśnie tak a nie inaczej. I chyba lepiej się stało, że osiągnęła to wszystko później, niż gdyby sukcesy przyszły wtedy, kiedy nie była na to jeszcze gotowa.

Jak przygotowuje się do nagrań? Rzadko kiedy słucha innych wokalistów. Natomiast bardzo lubi słuchać instrumentalistów, ich gra zawsze ją ekscytowała. Największy wpływ na rozwój jej talentu wywarł Charlie Parker i cała jego „paczka”. Oni to nauczyli Betty Carter pewnej siły wokalne, traktowania głosu nie tylko jako instrumentu ale oprócz tego jako pewnej siły uderzeniowej. Nauczyli ją również jeszcze jednej ważnej dla wokalistów jazzowych rzeczy, a mianowicie śpiewania scatem. Początkowo nie chciała tego robić zbyt często, żeby nie przytłaczać publiczności. Teraz osiągnęła taką technikę, że nikt nie potrafi jej dorównać. Otrzymała swój tak modny w jazzie przydomek — Lady Betty „Bebop” Carter. Młodnym słuchaczom jazzu właśnie tę epokę przypomina Betty Carter. Dawny bebop kojarzono z narkotykami i gdy ktoś miał coś wspólnego z jazzem, bebopem, uważano, że nie można polegać na nim, a co za tym idzie nie mógł marzyć o pieniądzach. Dlatego właśnie Charlie Parker pracował tak jak wymagała od niego sytuacja. Grywał wszędzie: na dancin-gach, w klubach, w salach koncertowych... Kiedy Betty zaczynała śpiewać Dizzy i Charlie Parker pozwalali jej przyłączyć się do swoich zespo-łów. Później, gdy przyjechała do Nowego Jorku i pracowała w Harlemie na 110 ulicy wspólnie z Artem Blakeyem znajomość z Charlie Parkerem przyniosła jej nieocenioną przysługę. Była już kimś, stawiała się osobą nobilitowaną w środowisku jazzmenów. Wówczas wszyscy czuli respekt przed Parkerem. Był to zupełnie inny okres w rozwoju muzyki jazzowej. Nikt od muzyków nie wymagał tworzenia samych przebojów, a i sami muzycy nie byli też tym zbyt zainteresowani. Wszyscy myśleli o tym aby grać jak najlepiej, aby dorównać mistrzom, aby jak najwięcej umieć. Wszystkim chodziło o to, aby się rozwijać, uczyć się, doskonalić i każdy wiedział, że jeśli w końcu będzie dobry, zawsze trochę zarobi. Dziś wielu jazzmanów myśli zupełnie inaczej: najpierw przebój, a dopiero potem uczy się jak dać sobie radę na estradzie. W czasach rozwoju Betty Carter można było być indywidualnością, dziś muzyk jazzowy musi brzmieć jak ktoś inny, albo prawie jak ktoś inny. Można pokusić się o stwierdzenie, że komercjalizacja jazzu zniszczyła bebop. Dzisiejsi młodzi muzycy jazzowi są zupełnie zdezorientowani — czym jest naprawdę jazz? Jest styl

free, który ludzie nazywają jazzem, jest fusion jazz i.t.d. Są wreszcie starzy muzycy jazzowi, jak: Dexter Gordon, Johnny Griffin i jest wśród nich również Betty Carter. To oni właśnie wywodzą się ze szkoły prawdziwego jazzu, opartego na czarnej, prawdziwej czarnej muzyce posiadającej rytm.

Oto fragment jednego z wywiadów Betty Carter: „... Kiedy ktoś pyta: „Jaką śpiewasz muzykę”? — odpowiadam: „Czarną”. „Ale jaką muzykę czarną?” — wtedy odpowiadam — nie śpiewam bluesa, nie śpiewam gospels — śpiewam jazz. Wystarczy mnie raz usłyszeć, by wiedzieć bez żadnych pytań, że jestem śpiewaczką jazzową...” Jest ciągle dumna z tego, że zajmuje się jazzem, że jest uznawana przez krytyków i muzyków. Cieszy ją sukces i popularność jazzu na całym świecie i że może podróżować po krajach, prezentując to, do czego doszła dzięki wieloletniej pracy. Choć często brak jej kilku dobrych czarnych muzyków grających w zespole towarzyszącym.

Sam fakt, że ktoś chce śpiewać jazz jest ogromnym ryzykiem. Ryzykiem dla Betty Carter była praca przez dwie, trzy dekady w muzycznej branży. W tym czasie zaszło tak dużo przemian. Kiedy zaczynała naukę śpiewu Ella Fitzgerald i Sarah Vaughan były u szczytu i niezbyt chętnie dopuściły do konkurencji jeszcze jedną czarną dziewczynę. Utrzymała się na scenie, gdy cały murzyński światek muzyczny ogarnęła magia rytm and bluesa. Jeśli ktoś chciał posłuchać jazzu musiał udać się do centrum Manhattanu, gdzie muzycy znaleźli się pod opieką i poparciem alfonsów, prostytutek, cinkciarzy, gangsterów i szulerów. Gdyby nie oni być może nie byłoby jazzu, tego prawdziwego z nieodłącznym swingiem. Oni to również przede wszystkim tworzyli publiczność klubów, które popierały jazz i dzięki nim Charlie Parker miał dla kogo grać. Następne uderzenie mody muzycznej to soul. Ale trzy pierwsze damy pozostały niewzruszone.

Wielu krytyków spisało już muzykę swingową na straty. Betty Carter przetrzymała wszystkie przeciwności i nie wycofała się. W międzyczasie urodziła dwoje dzieci. Nigdy nie zajmowała się niczym innym niż jazzem, nigdy nie miała innej pracy. Od nikogo nie oczekiwała pomocy. Nawet od kogoś tak bliskiego jak mąż.

Dziś czuje się bardzo dobrze. Jest dumna z samej siebie i, co najważniejsze w życiu każdego człowieka, nie żałuje raz obranej drogi. Była ona ciernista, pełna przeciwności, z pewnością także łez, ale jednak nie odczuwa goryczy, gdy myśli o tym co ma już za sobą. Czuje że czegoś dokonała. A to jest najważniejsze.

Krzysztof Ostaszewski



Drawn on 1/2.

782

A. Durbin

